

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Ogólnego zbioru Nr. 130.

№ 16. | Warszawa, 3 (16) sierpnia 1904 r. | Rok VI.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na ostatniej stronie.



Kuropatwy.

ZAJĄC POSPOLITY

(Lepus timidus)

przez

Wiktora Stephana.

(Praca, nagrodzona I-ą nagrodą na konkursie Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa).

(Ciąg dalszy).

Polowanie w kotły.

Przy polowaniu w kotły zajmuje zachodzenie wiele czasu, więc o ile możności robi się kotły duże i zwykle dwa, najwyżej sześć jednego dnia. Według tego powierzchnia, jaką się pod jeden kocioł zajmuje, waha się między 150 a 50 morgami, tak samo i ilość naganki waha się między 150 a 50 ludźmi. Więc także i przy tym sposobie jeden naganiacz na jedną morgę wystarczy.

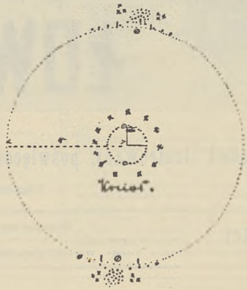
Polowanie w kotły polega na tem, że co kilku naganiaczy idzie jeden myśliwy; otaczają oni daną przestrzeń i zmierzają ku środkowi do znaku, ustawionego dnia poprzedniego.

Polowania w kotły urządzać w dnie mroźne, wówczas bowiem, tak samce, jak i samice, daleko ruszają; w odwilż samice zazwyczaj długo wytrzymują i dlatego podczas odwilży najwięcej ich ginie, czego, jak już wiemy, ze względu na hodowlę należałoby unikać.

Jeżeli są duże śniegi, to lepiej jest w kotły nie polować, a jeżeli to z pewnych względów konieczne, to brać małe przestrzenie, zając bowiem twardo siedzi i zwyczajnie dopiero za kołem wymyka.

Na wynik polowania oddziaływa dodatnio, jeśli koło postępuje równo, nie można więc z koła wybiegać naprzód, ani też pozostawać z tyłu, nie przyklękać za zbliżeniem się zająca i t. p., gdyż takie zachowanie się nie wygląda po myśliwsku i psuje ogólny porządek.

Początkowo strzela się do środka, gdy jednak koło ścieśni się tak, że strzały dosięgnąć mogą myśliwych z przeciwka, wówczas strzela się do zwierzyny wyłącznie poza sobą, a kiedy koło ścieśni się jeszcze więcej, tak, że przestrzeń między myśliwymi nie przechodzi 100 lub 120 kroków, wtedy myśliwi zostają na miejscu, a naganka schodzi się do oznaczonego środka, aby resztę zwierzyny ruszyć i wygnać na myśliwych.



Obwód koła $= 2 \times r \times \pi$. $\pi = 3{,}14$.

Ażeby zwierzyny na siebie nie kierować, nie robić przerw szczególnie wtedy, kiedy się koło już znacznie ścieśni.

Polowanie z naganką w polu ławą, czyli tak zwanym sztreifem.

Polowanie ławą polega na tem, że ruszona zwierzyna, umykając przed siebie, wraca po pewnym czasie z powrotem do miejsca, z którego była ruszona. Przy tym sposobie myśliwi stoją w jednej linii, przedzieleni zazwyczaj jednym naganiaczem, tworząc czoło, czyli front miotu, a naganka ustawia się po dwóch

DROGOCENNY PIES.

Przez

A. Czechowa.

(Przekład z rosyjskiego).

Porucznik Dubow, niemłody już wojak i ochotnik Knaps, spokojnie siedzieli i popijali koniak.

— Wspaniały pies — mówił Dubow, pokazując Knapsowi swą sukę, Miłkę—znakomity pies! Zwróć pan tylko uwagę na mordę. Ileż warta jedna tylko morda? Gdyby znalazł się prawdziwy amator, wysypałby dwieście rubelków za samą mordę. Pan nie wierzysz? No, to pan nie masz o tych rzeczach pojęcia.

— Owszem, mam pojęcie, ale...

— Ależ to setter, najczystszej krwi, angielski setter! Co za stójka, a jaki wiatr... węch! Boże, co za wiatr! Wiesz pan, ile zapłaciłem za Miłkę, kiedy była jeszcze maleńkim szczeniakiem? Sto rubli. Niepospolity pies. Szelma Miłka! galganica Miłka! pójdź tu, pójdź do pana, poczciwa moja suczyno.

Dubow uniósł Miłkę i ucałował w łeb między uszami; na oczach błysnęły mu łzy.

— Nikomu nie oddam ciebie, moja ty ślicznotko. Wszak ty mnie kochasz, Miłko, kochasz? No, idź do dyabła, krzyknął nagle porucznik, zabłoconemi łapami pakujesz się na mundur. Tak, panie Knaps, półtorasta rubli zapłaciłem za szczeniaka, widocznie więc było za co. Jednego tylko żałuję, że nie mam czasu polować. Marnuje się pies bez praktyki, poprostu zakopuję jej talenty. Dlatego też muszę sprzedać. Kup pan, panie Knaps, będziesz mi pan wdzięczny przez całe życie. Cóż robić, jeżeli pan nie masz pieniędzy, to niech będzie za połowę; bierz pan za pięćdziesiąt.

— Nie, łaskawco, westchnął Knaps, gdyby pańska Miłka była rodzaju męskiego, to możebym i kupił, ale to suka.

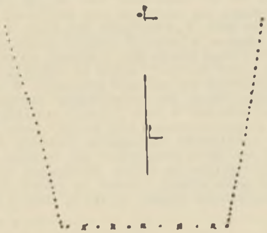
— Nie, to nie, do wszystkich dyabłów; nie kupuj pan. Chciałem panu zrobić łaskę, ale pan się nie dajesz przekonać. Warłamiejew, dajno koniaku.

Ordynans podał świeżą butelkę; przyjaciele nalali sobie i zamyślili się. Minęło tak z pół godziny w milczeniu.

— I cóż z tego, że suka?—przemówił pierwszy porucznik, ponuro wpatrując się w butelkę. Wielka rzecz. Przecież to lepiej dla pana; będzie rodziła szczenięta, a każdy szczeniak, to dwudziestopięciorublówka; każdy u pana chętnie kupi. Nie rozumiem pańskiego upodobania do psów; suki tysiąc razy więcej warte; są one i bardziej przywiązujące się i łatwiejsze do prowadzenia. Ale, jeżeli pan tak bardzo

bokach i tworzy flanki; na bokach, czyli flankach, ludzie postępują jeden za drugim i względnie do linii myśliwych pod kątem nieco rozwartym. Naturalnie, że polując w ten sposób, należy oznaczyć poprzednio kierunek miotów łatwo dostrzegalnemi wiechami lub tym podobnie, a to nietylko po bokach, którемi postępują flanki, ale także przynajmniej środek, a to dla ułatwienia zachowania porządku w odstepach między myśliwym.

Przy końcu miotu flanki się zamykają i schodzą się wszyscy razem. Przy polowaniu ławą robi się zazwyczaj dwa mioty na dzień, jeden do południa, a drugi po południu.



Ustawienie myśliwych i naganki przy polowaniu ławą.
... *naganka* x *myśliwi.*

Sposób tego polowania wymaga wielkich przestrzeni, gdyż już w 10 strzelb i 100 naganiaczy opolować można 1,800 do 2,500 morgów. Nadto owe dwie łączne przestrzenie muszą być bez przeszkód, jak większe wody, bagna i t. p., co nie zawsze się spotyka, dlatego sposób ten nie ma obszerniejszego zastosowania. Ławą polują najczęściej w Czechach.

Podobnie zupełnie, jak w polu, można ławą polować i w lesie, potrzeba jednak do tego wytrawnych myśliwych i ludzi wyuczonych.

Polowanie z naganką w lesie.

Polowanie z naganką w lesie, jest co do wykonania trudniejsze, niż w polu, niema bowiem tego przeglądu, wymaga więc ludzi przyuczonych. Natomiast polowanie w lesie jest bez porównania przyjemniejsze, ponieważ zwykle nietylko z zającem myśliwy tu się spotyka. Ciągła niepewność i ciągła nadzieja sprawiają wiele emocyi, dlatego też u nas odbywają się polowania przeważnie z naganką.

Polowanie w lesie urządzać należy w jesieni po opadzie liścia, w czasie bowiem jego opadania jest zając zawyczaj w polu, nie dlatego jednak, aby w tchórzliwości swojej bał się szelestu opadającego liścia, jak to sądzą niektórzy, ale dlatego, że w tym czasie panują mgły, które zamienione w wodę, spadają z gałązek dużemi kroplami. Te krople właśnie, są dla zająca bardzo nieprzyjemne i dlatego z lasu się wynosi. W zimie nie powinno się urządzać polowania podczas okiści, lub odwilży, ludzie bowiem chodzą źle, a zające często wynoszą się w pole.

Przed polowaniem należy w lesie stanowiska pooczyszczać i tak je oznaczyć, aby myśliwy myśliwego widział, więc tutaj równomierne odstępy między myśliwymi nietylko są niekonieczne, ale często wprost niemożliwe.

Jeżeli teren jest górzysty, to myśliwych ustawić na wyniosłościach i miot brać pod górę, gdyż zające, jak wiadomo, chętniej idą pod górę, aniżeli z góry.

(*C. d. n.*).

Wielkie psy pasterskie.

Rasy powstałe z krzyżowania.

(*Ciąg dalszy*).

4. Psy S-go Bernarda.

Na przełęczy S-go Gotharda, wysoko wzniesionej ponad poziom morza, nad drogą, łączącą niemieckie kantony Szwajcaryi z włoskiemi, bernardyni wybudowali klasztor, służący przez kilka wieków za schronisko dla podróżnych, szczególniej w porze zi-

---

boisz się żeńskiego rodzaju, to niech pana licho, bierz za dwadzieścia pięć.

— Nie, łaskawco, nie dam ani kopiejki, bo najpierw pies mi nie potrzebny, a powtóre, nie mam monety.

— To trzeba było odrazu tak mówić, — Miłka, wynoś się precz.

Ordynans podał jajecznicę i przyjaciele w milczeniu opróżnili patelnię.

-- A jednak pan jesteś dobry i uczciwy chłopak, panie Knaps, przemówił porucznik, wycierając usta. Żal mi pana zostawić z niczem, do wszystkich dyabłów. Wiesz pan co? zabieraj sukę za darmo.

— A dokądże ja ją zabiorę, odpowiedział, wzdychając Knaps, — kto u mnie będzie się nią zajmował?

— A no, jak nie trzeba, to nie trzeba, do stu dyabłów.. Nie chcesz pan, to nie. Ale dokąd że to? Siedź pan jeszcze.

Knaps podniósł się, przeciągnął i sięgnął po czapkę.

— Czas do domu; obranoc, rzekł, ziewając.

— No to zaczekaj pan, odprowadzę pana.

Dubow i Knaps ubrali się i wyszli na ulicę. Pierwsze sto kroków przeszli w milczeniu.

— Nie wiesz pan, komuby można oddać psa? — zaczął porucznik. Czy nie masz kogo takiego ze znajomych? Sam pan widziałeś, że pies dobry, rasowy, ale dla mnie zupełnie niepotrzebny.

— Nie znam nikogo, łaskawco; przecież ja tu nie mam żadnych znajomości.

Przyjaciele nie zamienili więcej ani słowa do samej kwatery Knapsa. Dopiero, kiedy Knaps uścisnął porucznika za rękę i otworzył furtkę, Dubow odkaszlnął i jakimś niepewnym głosem zapytał:

— Nie wiesz pan czasem, czy tutejszy oprawca przyjmuje psy?

— Napewno nie wiem, ale zdaje mi się, że powinien przyjmować.

— Poszlę ją jutro przez Warłamiejewa. Niech ją raz dyabli wezmą. Obrzydliwe, podłe psisko. Nie dość, że w pokoju robi nieporządek, ale jeszcze nikczemna bestya pożarła wczoraj mięso w kuchni. I żeby to choć była suka rasowa, ale to dyabli wiedzą co, jakaś mieszanina kundla że świnią. Dobranoc.

— Dobranoc — odpowiedział Knaps.

Furtka zamknęła się i porucznik powędrował do domu.

mowej. W czasie zamieci śnieżnych, tak częstych na wysokiej górze, dzwon klasztoru wskazywał zbłąkanym wędrowcom drogę, a niezależnie od tego, zakonnicy wychodzili w okolice klasztoru dla odszukiwania i niesienia pomocy ludziom, pozbawionym sił w walce ze śnieżycą. W podobnych wyprawach towarzyszyły zakonnikom psy, mogące węchem odszukać podróżnych, nieraz całkowicie zasypanych śniegiem, a często potrzebne dla wskazywania powrotnej drogi samym zakonnikom. Czasami najzmyślniejsze i najlepiej ułożone psy, puszczano na poszukiwanie same, z przyczepioną do obroży flaszeczką rozgrzewającego napoju. Nie zostało stanowczo stwierdzone, skąd bernardyni dostali pierwsze psy, z których wyprowadzili swoją znakomitą rasę. Podanie głosi, że sprowadzili, czy też otrzymali w darze, duże psy pasterskie z Pyrenejów, co jest bardzo prawdopodobne. Ale z drugiej strony jest rzeczą prawie pewną, że dla uniknięcia łączenia psów w bliskiem pokrewieństwie, krzyżowali swe psy długowłose z jakąś inną rasą krótkowłosą, co potwierdza się udowodnionym faktem, że następnie, kiedy już prowadzono hodowlę rasy klasztornej, samą w sobie, bez krzyżowań, w każdym miocie część szczeniąt była długowłosą, a część krótkowłosą. Najznakomitszym przedstawicielem znakomitej rasy był sławny Barry, którego wypchana skóra umieszczoną została w muzeum berneńskiem. Uratował on życie 14 zbłąkanym podróżnym, a najgłośniejszym jego czynem było przyniesienie na swym grzbiecie do klasztoru, kilkuletniego na wpół zmarzłego dziecka. Nie mogło być wyjaśnionem, jakim sposobem Barry mógł skłonić dziecinę do tej jazdy; faktem jest jednak, stwierdzonym przez kronikę klasztorną, że przyniósł ją siedzącą na nim, jak na koniu, i obejmującą rączynami szyję swego wybawcy. Wypchana skóra Barry i nieliczne z owych czasów ryciny, wskazują wyraźnie, że dawne, prawdziwe psy klasztorne, bardzo się różniły od wznowionej obecnie rasy psów S-go Bernarda. Były one przedewszystkiem znacznie mniejsze, choć duże i silne, a następnie typem więcej się zbliżały do innych ras wielkich psów pasterskich, podczas, gdy obecne olbrzymie s. bernardy więcej przypominają dogi.

Jak już wspomniałem, w klasztorze przez długi czas prowadzono rasę samą w sobie, nie chcąc jej psuć przez krzyżowania. Lecz łączenie psów w najbliższem pokrewieństwie wydało w końcu najgorsze rezultaty, których zakonnicy nie umieli przewidzieć. Płodność suk zmniejszyła się do minimum, szczenięta podległy różnym chorobom i w znacznej części ginęły młode i nareszcie w pierwszej połowie zeszłego stulecia psy klasztorne zupełnie wyginęły. Pozostały jednak szczątki tej rasy po za obrębem klasztoru. W czasach, kiedy jeszcze płodność suk była mniej więcej normalną, bernardyni nie byli w stanie hodować wszystkich rodzących się szczeniąt i chętnie odstępowali nadkompletne zgłaszającym się amatorom. Szczególniej starali się pozbywać psów długowłosych, jako mniej odpowiednich do wypraw w czasie śnieżycy, gdyż pył śnieżny, nabijając się między długą szerść i następnie obmarzając, pozbawiał je swobody ruchów. Od tych jednak długowłosych psów, wyradzały się znów w pewnej części krótkowłose. Nie ulega wątpliwości, że z chwilą wyginięcia psów bernardyńskich, w klasztorze i po za jego obrębem, musiały wyginąć, dla tych samych przyczyn, wszystkie psy czysto klasztornej rasy; ocalały tylko takie egzemplarze, których krew uległa odnowieniu przez krzyżowanie z innemi rasami. Mniej więcej w połowie zeszłego stulecia w Szwajcaryi, a następnie i w południowych Niemczech, powstała myśl odbudowania z tych nieczystych resztek, dawnej rasy psów bernardyńskich. Dobierano w tym celu egzemplarze najbardziej podobne do zaginionej rasy i oprócz tego uciekano się do krzyżowań, w celu przywrócenia niektórych, zatraconych cech. Ale pomimo usiłowań, typ dawny nie dał się odbudować i utrwalić. Z otwarciem wystaw psich, zabrali się do wznowienia rasy S-go Bernarda i Anglicy, ale właściwie było to nie wznowienie dawnej, lecz fabrykacya nowej rasy. W owym czasie moda zwróciła się w stronę psów bardzo wielkich, musiano więc, ulegając gustowi kupujących, i psy bernardyńskie doprowadzić do możliwej wielkości, a oprócz tego Anglicy pragnęli poprawić podług swego upodobania, głowy, czyniąc je cięższemi, zakończonemi tępo i przez to więcej odpowiedniemi dla psów dużych i masywnych. Rozpoczęto więc krzyżowanie z psami new-founlandskiemi i dogami, a dążąc konsekwentnie do typu, określonego z góry, w końcu otrzymano i do pewnego stopnia ustalono ów typ zamierzony, lecz jak już wspomniałem, różniący się bardzo od rasy pierwotnej. Obecna więc rasa psów S-go Bernarda jest jedną z najnowszych i dopiero w ostatnich czasach ustalać się zaczęła, choć i teraz jeszcze psy z jednego miotu bywają bardzo różnej wartości i często po najlepszych rodzicach otrzymuje się najlichsze potomstwo. W ostatnich kilkunastu latach psy bernardyńskie zaczęły coraz bardziej wchodzić w modę i obecnie stanowią najbardziej rozpowszechnioną rasę wielkich psów luksusowych, a wyborowe egzemplarze dochodzą do ogromnych cen. Są to rzeczywiście psy rozumne, spokojne, przywiązujące się bardzo, szczególniej do dzieci, których pilnie strzegą i zawsze są gotowe do odparcia jakiejkolwiek napaści na swych małych pupilów.

(C. d. n.).

Gawędy starego myśliwego.

VI.

Dawno już nie miałem sposobności pogawędzić z towarzyszami myśliwskiego sportu, których jednakże zachowałem nieprzerwanie w przyjacielskiej myśli i pamięci; pragnę więc korzystać z gościnnych szpalt swojskiego, naszego „Łowca Polskiego", znów wziąć za pióro i odżywić miłe wspomnienia z dawnych, minionych czasów, wspomnienia z niejednej, szczęśliwej chwili z lat młodych, jakie się z bronią w ręku i wśród braci myśliwych spędziło. A tych braci myśliwych było dawniej bardzo dużo we wszystkich stanach i z całem prawie ziemiaństwem na czele, bo myślistwo słusznie poczytywane było za sport prawdziwie męski i szlachetny, w którym starsi, oprócz przyjemności, szukali podtrzymawania nabytej zręczności rycerskiej, a młodzi zaprawiali się na rycerzy, bo wśród polowań na dziewiczych jeszcze przestrzeniach, w trudniejszych warunkach, w jakich odbywały się dawne polowania, połączone z poważnym nieraz trudem i niebezpieczeństwem,—w każdym myśliwym widziano pożądanego towarzysza i przyjaciela bez względu na jego stan i pochodzenie.

Zmieniły się dawne czasy, znikły bezpowrotnie odwieczne, niebotyczne lasy, pełne dzikiego zwierza, zmienił się sposób i rodzaj dawnych polowań, pamiętnych jeszcze starszemu pokoleniu, ale bodajby nigdy nie uległo zmianie zamiłowanie do owego cennego myśliwskiego sportu, który pozostanie na zawsze tem pożądanem, bratniem ogniwem, łączącem pomiędzy sobą ludzi wszystkich stanów.

Przeczytawszy w „Łowcu Polskim" zręczną humoreskę „Przygoda myśliwska redaktora", przypomniałem sobie zabawne także zdarzenie z pewnym redaktorem jednego z dzienników warszawskich, zacnym i powszechnie szanowanym człowiekiem, który wielkim był miłośnikiem myśliwskiego sportu, łaknął przedewszystkiem wrażeń polowania na większego, dzikiego zwierza, i niejednokrotnie ubolewał, że oho-

wiązki zawodu nie pozwalają mu wydalać się z Warszawy na czas dłuższy i zamiast z zającem i kuropatwą, spotkać się z wilkiem, jeleniem lub dzikiem.

Ułożyło się polowanie, mające trwać dni kilka w wielkich lasach nadpilicznych, obfitujących jeszcze wówczas w jelenie, sarny, wilki i dziki. Zaproszony wśród innych i nasz redaktor, przyjął zaproszenie z radością, stawił się na to polowanie z ogromnym zapasem kul i kordelasem u boku, a że nigdy jeszcze nie miał sposobności spotkać się z jeleniem, dzikiem lub wilkiem, więc marzył przedewszystkiem o zabiciu dzika i w tym celu wielokrotnie zwracał się z prośbą do gospodarza domu, ażeby wyznaczył mu odpowiednie stanowisko.

Przy kolacyi rozpoczęła się, jak zwykle, gawęda o zamierzonem, jutrzejszem polowaniu.

Wśród tej gawędy myśliwskiej redaktor nasz zwrócił rozmowę na polowanie na dziki.

Rozpoczęły się liczne na ten temat opowiadania o różnych przygodach myśliwskich przy spotkaniu się z dzikami, które też i całe niebezpieczeństwo tego spotkania przedstawiły.

Redaktor nasz słuchał tych opowiadań z przejęciem i uwagą, rozpytywał się o szczegóły zachowania się myśliwego wobec dzików bez narażenia się na niebezpieczeństwo, a w końcu zauważyliśmy wszyscy, że nasz towarzysz nietylko stał się jakoś zamyślonym, ale następnie i do końca wieczora nic już nie wspomniał o wyznaczeniu mu dobrego na dziki stanowiska.

Nazajutrz rozpoczęliśmy polowanie wśród prześlicznego dnia listopadowego.

Każdy z prawdziwych myśliwych niejednokrotnie miał sposobność doświadczyć owych, podwójnie uroczych wrażeń, jakie sprawiają rozpoczynające się polowanie przy pięknej pogodzie, ciszy leśnej i blasku słońca, tak malowniczo przedzierającego się przez konary drzew leśnych; to też i cała nasza drużyna myśliwska, zachwycona tym cudownym obrazem natury, podniecającym jeszcze nadzieję obfitych łupów, z radością w sercu zgromadziła się na pierwszej linii, przeznaczonej na stanowisko dla strzelców.

Rozdział stanowisk postanowiono, według zwyczaju, dokonać przez losowanie, co nawet i nasz redaktor uznał za najsprawiedliwsze.

Pierwsze dwa mioty skończyły się dość pomyślnie, bo oprócz kilkunastu zajęcy i trzech lisów, zabito dwa wilki, trzy kozły, maciorę i dwa warchlaki. Redaktor spudłował kilka razy do zajęcy i lisa, ale w drugim miocie zabił kozła.

W trzecim miocie, oprócz mniejszej zwierzyny, natrafiono na stado jeleni, z kilkunastu sztuk złożone, oraz na starego dzika, pojedynka. Jelenie przesunęły się bokiem pomiędzy naganką i strzelcami, pojedynek zaś wyszedł na linię strzelców; dano do niego cztery strzały, zwrócił się ku obławie, rzucił się na jednego z obławników, który usiłował zastąpić mu drogę, obalił go na ziemię, ale na szczęście, uderzeniem kła rozerwał mu tylko sukmanę i spodnie odzienie, a na biodrze zadał kilkucalową, powierzchowną ranę.

Jak utrzymywali, i strzelający, i kilku z obławników, dzik miał być raniony, chociaż brak śniegu faktu sprawdzić nie pozwolił.

Według zdania miejscowej straży leśnej, raniony pojedynek powinien najprawdopodobniej zatrzymać się w błotnistych, gęsto podszytych olszynach, ciągnących się na znacznej przestrzeni wzdłuż łąk nadrzecznych i przeciętych wysoką i szeroką groblą, która stanowiła główną drogę komunikacyjną przez łąki i błotnistą część lasu do lasu górnego. Że zaś w mowie będąca grobla, przecinała długi pas olszyny na dwie części i przedstawiała dla strzelców najdostępniejszą i najlepszą, bo suchą i prostą linię, więc zajęliśmy stanowiska na owej grobli w odległości jakichś stu kroków jeden od drugiego.

Grobla była ze trzy łokcie wysoka, ze cztery sążnie szeroka, brzegi miała dobrze spadziste, a z każdej strony dotykał do niej rów, szeroki na jakie cztery lub pięć łokci, napełniony dość głęboko wodą. Brzegi zaś grobli porośnięte były młodą olszyną, która wprawdzie zakrywała w części strzelca, ale żadnej nie stanowiła dla niego ochrony.

Przed ruszeniem naganki łatwo już było zauważyć, bo na prostej i szerokiej linii widzieliśmy się wszyscy, że kilku z mniej doświadczonych strzelców, a w szczególności nasz redaktor, skrupulatnie zrewidowali swoje stanowiska i kilkakrotnie zmieniali je w jedną lub drugą stronę, o ile było to możebne przez wzgląd na stanowiska sąsiednie. Prawdopodobnie albo szukali miejsc dogodniejszych do strzału, albo też miejsc, zakrywających ich lepiej przed wzrokiem dzikiego zwierza. I rzeczywiście, spotkanie się oko w oko z ranionym dzikiem byłoby na tej grobli i wielce niebezpieczne i wymagałoby wiele zręczności i krwi zimnej.

Postanowiliśmy na tem stanowisku nie strzelać do żadnej innej zwierzyny, bo oprócz ranionego pojedynka, olszyny te były ulubionem siedliskiem dzików, a więc spodziewano się ich więcej.

W kilka minut po ruszeniu naganki, spostrzegliśmy, bliżej stojącego, ogromnego rzeczywiście dzika, który szedł prosto na redaktora, zatrzymał się jakąś chwilkę nad rowem około grobli, następnie wszedł do rowu, powoli wdrapał się na groblę, małym kłusem groblę przebył, spuścił się powoli na drugą jej stronę, przebrnął rów drugi i bieżąc takimże samym kłusem, zniknął w lesie.

Wśród ciszy leśnej i oddalonych głosów naganki, słyszeliśmy plusk wody w rowach, poruszonej przez dzika.

Zdziwieni brakiem strzałów do stojącego i tylko o kilka kroków od strzelca przechodzącego dzika, spojrzeliśmy na redaktora. Stał na miejscu, ale odwrócony tyłem do naganki i z podniesioną do góry głową, spoglądał w niebo. Skoro zaś dzik wdrapał się na groblę i przez groblę przechodził, redaktor, zawsze odwrócony do dzika tyłem i z podniesioną do góry głową, odwracał się znów w stronę naganki.

Po skończeniu miotu i na jednogłośne zapytanie towarzyszów polowania, dlaczego dzika bez strzału przepuścił? redaktor nasz okazał wielkie zdziwienie, bo żadnego dzika nie widział i chyba, jak twierdził, dzik przeszedł obok niego wówczas, kiedy, spostrzegłszy ogromnego jastrzębia, śledził jego ruchy.

Oświadczenie to przyjęliśmy najpierw z przymuszoną powagą, ale następnie powoli zaczęły się sypać różne zapytania, uwagi i przycinki, które poczciwy nasz redaktor dość ostro z początku, jak to mówią, odcinał, ale następnie dalsze żarty przyjmować zaczął z uśmiechem i żartami je odbijać.

Przy kolacyi i podczas wesołej i serdecznej, jak zwykle wśród myśliwych, gawędki, redaktor nasz przyznał się nareszcie, że na widok ogromnego i poraz pierwszy w życiu spotkanego dzika, doznał jakiegoś nieokreślonego wzruszenia, które spotęgowało się jeszcze na wspomnienie o świeżym wypadku obławnika z ranionym dzikiem i braku na grobli grubszych drzew lub pieńków.

Po tem przyznaniu uściskaliśmy jeszcze serdeczniej kochanego naszego redaktora, a na temat doznanego wzruszenia wobec dzika, długo jeszcze trwała tego wieczoru wesoła gawędka.

Nie śmiemy być podejrzliwi, ale też i nie moglibyśmy zaręczyć, czy wśród zebranej w dniu tym drużyny, nie znalazłoby się jeszcze więcej takich myśliwych, którzy, wobec potężnego dzika i na gołej grobli, nie doznaliby także nieokreślonego wzruszenia, tamującego im ruchy i wolę.

W każdym razie nieokreślone to wzruszenie pozostawiło nam w pamięci serdeczne i miłe wspomnienie chwil szczęśliwych, a wyszło też jednocześnie i na pożytek dzika, który wymknął się cały z grożącego mu niebezpieczeństwa; czy nawet istotnie był raniony, niewiadomo. *Ludwik Łaszcz.*

SROKOSZ.

Ciekawą monografię srokosza podaje jedno z pism zagranicznych, w której niepodpisany autor opowiada o tym ptaku nader zajmujące szczegóły.

Wraz z wiosną, naprzód postępującą — czytamy w owem piśmie—, kształtuje się również życie ptaków, coraz bardziej urozmaicone, coraz czynniejsze i ruchliwsze. Maj przynosi nadmiar radości i rozkoszy, pełnię pieśni, kipiącą dążność czynu, zazdrosną chęć do walki. Potem zapełniają się ostatnie luki: wszystkie ptaki wędrowne powróciły, budują sobie gniazdeczka, biorą w panowanie osobne ogniska rodzinne po walce zwycięzkiej z rywalem. W krzakach i na drzewach gnieżdżą się spokojnie śpiewające ptaki, w zgodzie obok siebie.

Lecz nierzadko spokój i radość znikają, gdy silniejszy napada nagle słabszego, grożąc, albo niszcząc życie jego lub kochanki. To też przy opisach wszelkich gatunków ptaków znajdujemy stałą rubrykę: „Ich wrogowie“. Nasze znane ptaszki śpiewające, drobne, nie mają gorszego wroga, zarówno w polu, jak i w lesie, niż srokosz.

Srokosz należy do rodziny dzierżb (*Lanius*). Od czasów przyrodnika Naumanna, gatunki dzierżby, wraz z jej drobnemi odgałęzieniami, dzielą się na cztery odłamy: dzierżba srokosz, dzierżba czarnoczelna, dzierżba gąsiorek i dzierżba rudo-głowa. Pierwsze dwa gatunki są sobie pokrewne przez *odzież zewnętrzną*: na grzbiecie są popielato-szare, na reszcie ciała czarne i białe; dwa drugie noszą rude znamię charakterystyczne. Rudogłowa dzierżba ma rdzawą myckę, zachodzącą na tył głowy (potylicę) dość daleko aż do karku. Gdzie przy tym ptaku znak rudy się kończy prawie zupełnie, tam u gąsiorka (*Lanius collurio*) wyłania się on dopiero z jasno szarej barwy głowy i przez grzbiet rozszerza się aż do ogona.

Po tej oznace można zawsze dokładnie odróżnić gąsiorka od jej krewniaka. U samiczki rude zabarwienie jest jaśniejsze, zbliżając się do neutralnie szarej barwy. Pierś u obu płci jest nieco zblakłe różowa; głowa, szyja i kuper (guzica), lotki i sterówki są brunatno-czerwone, dochodząc do barwy szarej. Zupełnie zblizka odróżnić można samczyka od samiczki po tem, że przez oko pierwszego idzie kreska mocno czarna, przez oko zaś drugiej — kreska szara. Silny haczyk przy końcu dzioba świadczy odrazu, że ten, tak ślicznie ozdobny ptak jest drapieżnikiem.

Po niemiecku ma on nawet różne nazwy, oznaczające jego drapieżne obyczaje. Wprawdzie i dzierżba rudogłowa, a w niektórych miejscach także dzierżba srokosz i czarnoczelna, mają nazwę „Neuntöter“ (zabójca dziewięciokrotny), ale lud stosuje tę nazwę szczególnie do najmniejszej z dzierżb, do szarogrzbietej. Podług „Księgi ptaków“ Gesnera, ptak ten nazywa się dlatego „Neuntöter“ lub „Neunmörder“ (Morderca dziewięciokrotny), że codziennie musi zabić dziewięć ptaków. Przesąd ten ulega pewnej zmianie w rozpowszechnionem również mniemaniu, że „ptak ten nic nie kosztuje, dopóki nie popełni dziewiątego zabójstwa“. W Niemczech środkowych dają temu ptakowi nazwę: „wilczy chodzik“, ponieważ postępuje, jak wilk w lesie.

W istocie srokosz zabija najwięcej ptaszków w porównaniu z innemi gatunkami tegoż rodzaju. Stosuje przytem zupełnie odrębną metodę. Małego robaczka lub chrząszczyka może połknąć całego odrazu. Przeważnie jednak zatyka swą zdobycz na cierń śpiczasty lub na koniec gałęzi suchej i ostrej, albo też, co się rzadziej zdarza, wciska między drobne, ciasne widełki gałęzi. Na wiosnę spotyka się galerye, urządzone przez tego ptaka na cierniach, gdzie są białe lub czarne gniazda, które nigdy prawie nie leżą osobno, lecz zawsze w koloniach. Gniazda leżą też w głębi dróg polnych, na miedzach zagonów, na opuszczonych kupach kamieni lub na skrajach lasu i gajów.

W Niemczech zachodnich i południowych wszędzie prawie spotyka się parę srokoszów; w tych okolicach leśnych osiadło ich najwięcej. Profesor Jager, opisując faunę Niemiec, a szczególnie okolic Stutgardu i Wirtembergii, twierdzi nawet, że tam w polach nie ujdzie się stu kroków, żeby nie usłyszeć głosu srokosza, albo nie widzieć go swobodnie siedzącego. W każdym razie ptak ten jest naprawdę głównym mieszkańcem pól niemieckich, skrajów lasu, oraz wszelkiej tarniny, cierni i głogów. Uważnie obserwując, ma się tutaj zawsze sposobność oglądania miejsca, gdzie ptak ten wykonywa owe torturowanie owadów i ptaszków. Przeważnie jednak nie wiszą tutaj całe zwierzątka upolowane, lecz resztki, szkielety i kawałki, nawpół wyschłe i pokurczone.

Tutaj zatknięto żabkę drobną, młodziutką, za pyszczek na ostrze ciernia, w sposób prawdziwie okrutny. Obok przylepiono parę skrzydełek motylka, które ledwie poznać można; ciało jego również zatknięte, zostało już zjedzone. Wokoło widzi się pierścienie różnych większych chrząszczów. Nawet zielona szarańcza doznać musiała męczarni zatykania; jedna z jej nóg długich zwisa jeszcze z szubienicy. Po młodej myszce został tylko kawałek jej skórki. Wisi także jaszczurka, długości zaledwie palca małego, prawie jeszcze nienaruszona przez drapieżnika. Straszny jest widok bielejącego szkieletu ptaszka, którego wykradziono z gniazda, gdy był zaledwie puchem okryty, albo został zaskoczony po drodze przez srokosza, gdy odważył się pierwszy raz wyfrunąć niezręcznie na powietrze. Niezbyt rzadko drapieżnik ten zwycięża także stare ptaki, a mianowicie, o ile nie przerastają go wielkością. Trudno nawet uwierzyć, że ptak, mający wszystkiego 15 do 20 centymetrów długości, ujawnia tak dziką drapieżność! Ptak to wielkości skowronka, a drapieżny, jak krogulec.

Jerz.

(*Dok. nast.*)

Z TOKU GŁUSZCÓW.

Zwierzyniec Pilawiński.

(*Dokończenie*).

Wspomniany drzewostan, nieco za jednostajny przedstawiający obraz dla oka, już je dziś rozmaitością pieści: oto wycięto nader umiejętnie kilko—i kilkunastomorgowe przestrzenie na polanki, obsiewane trawami, zbożem lub innego rodzaju karmą, skorzystano z dwóch przepływających knieję potoków, by je zmusić do utworzenia jezior leśnych, porobiono przecinki, przeprowadzono całą sieć malowniczych dróg, tak, że dziś nie widząc nawet zwierza, rozkoszować się można pięknemi widokami z głuchej puszczy, wjeżdżając na twory rozbujałej fantazyi, artystycznie wykrojonych obrazów, a z wielkim dla zwierza, wymyślonych pożytkiem.

Byłem szczęśliwszym: nietylko obejrzałem ludzkiej twórczości dziwy, lecz nadto rozkoszowałem się zwierzyńca treścią: oto zbliżamy się do jednego z jezior: na przeciwległym brzegu łoś stoi; płaszcz czarny, oświetlony zachodzącego słońca promieniami, odbija wyraźnie od jasno płowych badylów; powtórny obraz dziwnego zwierza spostrzegać się daje w przezroczystych falach jeziora, powiększających nad miarę i tak

już widoczny garb zwierzęcia; śmiesznie wydłużonemi chrapami stara się uchwycić listki zaledwie rozwijającej się olszyny. Przez szkła rozpoznać można dwa ciemne guzy, zapowiadające róże przyszłych rogów, jego pierwsze ozdoby; to bowiem łoś dwulatek, niemający jeszcze rogów. Dalej dwa jelenie-wapiti kroczą poważnie, ku wodzie zmierzając; pierwszy o zrzuconym, jednym rogu, drugi w pełni wieńca. Mówią mi znawcy, że jeden z nich to syberyjski maral (*Cervus asiaticus*), drugi ma być amerykańskim (*Cervus canadensis*).

Wierzę na słowo, ale tak te dwa typy do siebie podobne, iż byłbym w niemałym kłopocie, gdyby mi je rozpoznać kazano: ta sama wydłużona, zgrabniejsza, aniżeli u naszego jelenia, głowa, ten sam płaszcz czerwonawo-płowy, ten sam zupełnie widoczny ogonek, okolony jaśniejszym talerzem, daleko, aż ku grzbietowi zdążającym.

Jeszcze dalej stoi łania, maralka, zapewne cielna, przeto ostrożniejsza. Wreszcie, jak gdyby dla stwierdzenia, wszędzie tu panującego kontrastu: przyrody dzikiej, rządzącej niepodzielnie, w walce z przyrodą, skrępowaną uporem człowieka, jego wiedzą, żądzą nad jej tworami panowania, porywa się z wody tubylcza para dzikich kaczek, podgorzałek.

Łoś w zwierzyńcu było już 20 sztuk: niestety dwie sztuki padły od zbrodniczej, kłusowniczej broni, kilka sztuk zginęło tej zimy; jest przecież jeszcze 14, z których 3 klępy cielne. Dalsze transporta łosi są spodziewane z Polesia, ordynacyi Nieświezkiej, Olyckiej i t. d. Podobnież w drodze do Pilawina są jeszcze jelenie kanadyjskie, syberyjskie i nigdzie dotąd na kontynencie niespotykany, jeleń ussuryjski (*Cervus Dybowskii*). Gdy do tych spodziewanych przesyłek, dodamy jeszcze, że dwie kanadyjskie łanie, jedna maralka i jedna łania krajowa, (jedyna swego rodzaju dla skrzyżowania z wapiti) spodziewają się również potomstwa, możemy śmiałym zamiarom najpiękniejsze rokować nadzieje. Dwa rogacze (*pygargus*) nietylko mogą, łącząc się z kozami naszych sarn, w zwierzyńcu przypadkiem zamkniętemi, wytworzyć nową silną sarn rasę, ale również otrzymają samice swego szczepu, by wzbogacić inwentarz Pilawina.

W drodze z objazdu powrotnej, marząc o wspaniałościach przyszłego tu zwierzostanu, jak gdyby na przestrogę podpisanemu korespondentowi, by nie zapomniał, iż cechą wszechwładnie tu panującą jest dzikość, widzimy o kilkanaście kroków od drogi, na niskim konarze, coś bardzo dzikiego i drapieżnego. W drapieżniku poznaję orła przedniego (*Aquila fulva*): obżarty, ciężki, zaspanym nas obejmuje wzrokiem; „Królestwo za strzelbę"! Nie potrzeba królestwa; oto strzelba, jak zawsze, w tak ciężkiej potrzebie, w pałacyku myśliwskim, bezczynnie spoczywa.

Na tem kończę, tak miłemi pieszcząc się wspomnieniami; odświeżony wrażeniami łowieckich wspaniałości, tu widzianych, powracam do trybu codziennego życia; z uwagi zaś, że wspomnienia, to druga połowa wrażeń przeżywania, powierzam je czcionkom, w nadziei, że niejednego z pod sztandaru św. Huberta zaciekawią i łaskawie przezeń do wiadomości będą przyjęte.

Ant. Kaz. hr. Wodzicki.

Z Dziennika Myśliwego.

D. 14 kwietnia 1904 r.

W Petrykowie, w rewirze „Kurytycze", znalazłem się z leśnikiem Baranowskim około 3-ej w nocy w lesie wśród bagna, dochodzącego nam do kolan; była to część lasu, z której w poprzednim roku budulec wycięto; wśród gęstych zagajników olszowych i sosnowych leżały złomy gnijących wierzchołków i gałęzi. W tych warunkach posuwanie się naprzód, przy podchodzeniu głuszca, było bardzo uciążliwe, tembardziej, że silny przymrozek skorupą pokrył bagno, łamiące się za każdym naszym krokiem.

Głuszca zasadził Baranowski z wieczora, ale bardzo daleko od miejsca, w którem siedział na podsłuchach, tak, że szliśmy na niepewne. Noc była strasznie ciemna i gdybym nie przyświecał małą, elektryczną latarką, nie bylibyśmy w stanie ani iść naprzód, ani oryentować się wśród tych wszystkich złomów i przeszkód; pomimo to, wszedłszy w gałęzie ściętej sosny, wziąwszy ją za kępę młodego zagajnika, dobrze trzeba było się namęczyć, nim się człowiek z błota i gałęzi wydostał.

Noc była cicha, więc i pierwsze klapnięcie głuszca nie uszło naszej uwagi, choć przestrzeń około dwustu kroków musiała nas dzielić od niego.

Należało teraz iść i podskakiwać w pieśni bez światła, a tu błoto stawało się coraz głębsze, często po pas zapadałem w wodę; rękami trzeba było torować drogę wśród kęp olszyny i po omacku omijać zawały. Po pewnej chwili zagrał tuż obok pierwszego, drugi głuszec; utrudnia to ogromnie podchodzenie, pieśni plączą się i łatwo jednego z głuszcy spłoszyć, gdy pieśni zaczną się krzyżować, a zwykle spłoszony głuszec, odlatując, łoskotem płoszy drugiego.

Postępuję już sam jeszcze wolniej i ostrożniej, niż przedtem, i nakoniec, przedostawszy się przez kępę olszyny, zobaczyłem głuszca: nie było więcej nad dwadzieścia kroków do sosny, na której siedział; oddzielało go odemnie czyste bagno. Ciemno było tak, że tylko dzięki ruchom głuszca odróżniłem go od czarnych liści choiny; siedział na nizkiej gałęzi koło samego pnia, wpół sosną zakryty.

W chwili, gdym ujrzał głuszca, drugi bądź to spłoszony przezemnie, bądź że skończył już pieśń, z łoskotem spuścił się na ziemię, a mój głuszec umilkł, niespokojnie zaczął się rozglądać na wszystkie strony i od czasu do czasu klapał. Mnie zaskoczyło to w pozycyi następującej: po pas stałem w wodzie, lewą ręką przytrzymywałem rozgarnięty krzak olszyny, w prawej wysoko trzymałem strzelbę. Kombinowałem, że nim chwycę fuzyę i strzelę, głuszec spłoszony odleci, a ponieważ klapie, więc niezawodnie zacznie znowu grać. Wytężam się, by stać jaknajspokojniej. Po chwili jednak zimne dreszcze zaczynają mi latać po ciele, pomimo, że pot zalewa mi oczy, a żar wysusza usta, dygocę, jak w febrze, i czuję, że siły zaczynają mnie opuszczać. Jak długo tak stałem —nie wiem, dość, że trochę rozwidniło się i nakoniec głuszec klapnąwszy raz i drugi, załopotał skrzydłami i porwał się do lotu. Chwyciłem za strzelbę i zdążyłem dwa razy strzelić, ale głuszec poleciał, tylko pióra się posypały. Baranowski przylatuje do mnie i mówi, że głuszec musi być ranny, bo słyszał, jak chwilę po strzale upadł na ziemię. Nabijam prędko fuzyę, ale zmęczenie i zawód odjęły mi resztę sił; siadam na pierwszej kępie, niebardzo pocieszony zapewnieniami leśnika, gdyż sam tego upadku nie słyszałem, a wiedziałem z doświadczenia, że jeżeli głuszec po strzale nie dostanie się zaraz w ręce myśliwego, najczęściej ginie. Zapalam papierosa, gdy nagle drugi głuszec, który pierwszy zleciał na ziemię, widać spłoszony memi strzałami, zrywa się i ciągnie mi nad głową. Szaloną miałem radość, gdy po strzale znalazł się u nóg moich.

Pierwszego na razie nie znaleźliśmy, dopiero na drugi dzień odnalazł go leśnik: cóż! kiedy ogon miał całkiem zestrzelany.

D. 16 kwietnia, w Kurytyczach (Petryków).

Poszedłem z leśnikiem Bagińskim na tok głuszcy, aż biało było wszędzie od mrozu. Natrafiliśmy na dwa

głuszce, grające w jednem miejscu na ziemi. Podskoczyłem parę razy, gdy nadlatuje kwoka i siada o parę kroków przed nami na gałęzi i kwokcze niemiłosiernie. Bagiński stanął—i ja za nim. Głuszce tymczasem tokują w najlepsze, biegają między krzakami. Odtrącam Bagińskiego, chcąc dalej podskakiwać, ten mnie chwyta za rękę i nie puszcza. Zły byłem, ale usłuchałem. Tymczasem głuszce prześpiewały jeszcze parę pieśni i umilkły, a za niemi odleciała i kwoka. Bagiński kombinował, że głuszce nadbiegną do kwoki, tymczasem popsuł mnie ranek.

Gdy wyszliśmy z lasu na polanę, słońce dopiero wstawało. Na środku polany była przygotowana budka na cietrzewie i rzeczywiście trzy koguty tokowały przy niej zapamiętale. Zostawiam Bagińskiego na skraju lasu, a sam skierowałem się całym pędem ku budce, klaszcząc przytem w ręce. Cietrzewie prysły przestraszone, na wszystkie strony i posiadały na drzewach, a ja w jednej chwili wpadłem do budki i zacząłem wabić. Zaraz też odpowiedział mi jeden, siedzący na brzezinie, o parę set kroków odemnie, widać „tokowik“, i zaczęliśmy do siebie tokować. Nic niema zabawniejszego nad tę rozmowę: zaczyna się cicho i trwożliwie, a kończy się w tonach zuchwałych, wyzywających do walki; po chwili cietrzew zlatuje i siada o kroków sto od budki, i tokuje. Teraz ja zamilkłem, a drugi cietrzew z lasu zaczyna mu odpowiadać i po chwili ten drugi zlatuje na ziemię koło samej budki. Nie czekam na ciąg dalszy, lecz rozstrzygam losy na korzyść pierwszego, i drugi został na placu—martwym.

D. 27 kwietnia.

Wyszedłem z leśnikiem, Jakubem Nierodkiewiczem, ze stanku „Maryanka“ (Kuraż-Jaźwinki) na tok głuszycy.

Skierowaliśmy się przez małe kładki, zaopatrzeni w rosochy, dążąc do Murawia; jest to mała wysepka wśród bagien, pośrodku której leśne mrówki usypały duży kopiec. Była pełnia księżyca, czas mroźny, więc szybko po kładkach doszliśmy do celu. Zaledwie chwilę poczekałem, gdy zagrał głuszec niedaleko jak o czterdzieści kroków. Osiki były w kwiecie, więc nietylko że głuszce „czipo grajut“ *), ale już toki miały się ku końcowi.

Głuszec po każdej pieśni długie robił przestanki, często w pieśni urywał i wogóle bardzo okazywał się niespokojnym. Podchodziliśmy razem z Jakubem: nie byliśmy dalej od głuszca nad kilkanaście kroków, gdy głuszec umilkł. Mnie sosna zasłaniała widok, ale Jakub zobaczył go, siedzącego nizko na gałęzi. Zamiast poczekać następnej pieśni, Jakub, jeszcze większy odemnie gorączka, szepnął do mnie: „Pane, won siedit“! Wystarczyło to, by głuszec spłoszony, odleciał.

Zaledwie mogłem się powstrzymać, by Jakuba tęgo nie wyłajać, bo nierozważnem słowem spłoszył głuszca. Za chwilę jednak posłyszeliśmy znowu śpiew. Głuszec tym razem na ziemię nie zleciał, tylko przeniósł się o kilkadziesiąt kroków od nas na drugą sosnę i znowu rozpoczął śpiew. Nie uszliśmy więcej nad parę kroków, gdy głuszec znowu się zrywa i siada na czubku sosny, pod którą stałem. Dobrym strzałem strąciłem go na dół.

Pokazało się, że głuszec nie był przez Jakuba spłoszony, lecz nie słysząc kwok, przenosił się w pieśni z miejsca na miejsce, chcąc łopotem kwoki zwabić. Kwok już jednak nie było na toku, musiały już siedzieć na jajach.

Trzy ranki jeszcze spędziłem w lesie, ale już głuszca nie usłyszałem.

S. B.

*) „Czipo grajut“ znaczy: cicho śpiewają z powodu objedzenie się kwiatem osiki.

NOTATKI MYŚLIWSKIE Z INDYJ

przez

Józefa hr. Potockiego.

(Ciąg dalszy.)

Z wyjątkiem północnej części półwyspu, w środkowych i południowych prowincyach tylko w tak zwany gorący sezon na grubego zwierza, a w szczególności na tygrysa polować można; powyższy zaś sezon obejmuje niewięcej jak trzy miesiące, t. j. od 15 marca do 15 maja. Przedtem dżungle za gęste, dostęp do nich trudny, śledzenie zwierza i oznaczenie miejsca jego pobytu niemożliwe. Dopiero, gdy skwary słoneczne wysoką trawę i trzcinę przepalą, gdy wody w rzekach i strumykach wysychać poczną, pozostając w niektórych tylko niższych miejscowościach, ściąga dziki zwierz do tych naturalnych wodopojów, koncentrując się niejako na mniejszej stosunkowo przestrzeni, w pewnych określonych, miejscowym myśliwym dobrze znanych kniejach i ostępach. Z końcem maja znowu rozpoczyna się długi sezon deszczów, poczem następuje pora straszliwych letnich upałów, deszczami przeplatanych, pora zabójczych gorączek, w którym to czasie żaden Europejczyk dłuższy czas pod namiotem przebyć się nie odważy. Pod wpływem klimatu stref podzwrotnikowych, roślinność rozwija się wówczas całą siłą, dżungle i lasy stają się jednym niedostępnym i nieprzebytym gąszczem, i o polowaniu mowy niema. W północnej części Indyj wcześniej można zacząć i później skończyć polowanie, jednakże dostęp do tych krajów topograficznie trudniejszy, a zresztą i tu sezon klimatycznemi warunkami ograniczony. Z powyżej opisanych względów łaskawy czytelnik przekonać się może, że na polowanie na grubego zwierza w Indyach nie tak łatwo dostać się można, jak o tem w Europie mówią i jak niejeden turysta, który z Baedekerem w ręku od miasta do miasta w wygodnym wagonie się przejechał, nieraz opowiadać lubi, prawiąc dziwy o tygrysach, z którymi chyba w ogrodzie zoologicznym się spotkał.

W kraju tak bogatym w różnorodną zwierzynę, jak Indye, można wypadkiem gdzieniebądź natknąć się na grubego zwierza, nawet na tygrysa, są to jednak rzadkie wypadki, raz na lat dziesięć się trafiające, których na seryo w rachubę brać trudno.

Dla amatora, który w myśliwskich celach do Indyj się wybiera, najważniejszym, jedynym niemal warunkiem, conditio sine qua non uzyskania pożądanego rezultatu, są dobre listy polecające do wpływowych i kompetentnych osób anglo-indyjskiego świata, a względnie stosunki w tym świecie. Bez listów ani kroku naprzód, a i z listami również nie łatwo — ut litera docet. Ci panowie w Kalkucie tak są znudzeni przybywającymi z Europy amatorami polowania, domagającymi się natarczywie tygrysów, że i najlepsze listy w danej chwili nie pomogą. Niedalej jak w roku bieżącym, jeden z austryackich panów, który kilkakrotnie do Indyj jeżdżąc, zdobył tam świetne myśliwskie trofea i liczne posiada stosunki, telegrafował do wicekróla z prośbą o urządzenie mu polowania w Assamie. Wicekról miał wyrzec, otrzymawszy depeszę: „Czy oni myślą, żem ja łowczy, bym im zwierzyny dostarczał?“ — i kazał mu odpowiedzieć, że w roku bieżącym cholera w Indyach grasuje i że mu przyjeżdżać nie radzi (sic). Bez listów środki materyalne też nic nie pomogą; zapomniałem bowiem wspomnieć o jeszcze jednej ważnej okoliczności, utrudniającej urządzenie polowania na własną rękę, mianowicie o sło-

niach, bez których o systematycznem polowaniu na tygrysy mowy być nie może, chociażby bowiem—jak w środkowych Indyach — teren nie pozwalał na ich użycie do naganki i pod myśliwych, kilka ich zawsze nieodzownie mieć trzeba w razie postrzelenia zwierza i śledzenia za tropem postrzałka. Za pieniądze zaś słoni ani kupi, ani nie najmie, gdyż — jak już wyżej wspomniałem — są one wyłączną niemal własnością albo Maharadżów, albo armii angielskiej. Gdyby nawet bez słoni obejść się można, urządzenie wyprawy myśliwskiej na własną rękę, bez pomocy kompetentnych osób lub wszechwładnych organów rządu, dla cudzoziemca, na ograniczony czas do Indyj przybywającego, nieznającego krajowego języka, miejscowych ludzi, stosunków, i niewiedzącego gdzie i zaczem się obrócić, należy – ze względu na wątpliwy rezultat — do zadań tak trudnych, że go nikomubym próbować nie doradzał.

Obawiam się, by łaskawy czytelnik nie myślał, że to przesada z mej strony wywołana może skutkiem wyjątkowo osobiście doświadczonych trudności i że rzecz cała nie tak trudna, jak ją opisuję. Dalibóg, że nie przesada! Niedalej jak w roku zeszłym, przybył z Włoch jakiś amator myśliwy, zaniedbawszy się zaopatrzyć w potrzebne listy polecające. Zapalony widocznie do polowania, majętny człowiek nie szczędził grosza i funtami rzucał, by tygrysa dostać, wysiedział się kilka tygodni w Sunderbandach pod Kalkutą i bez tygrysa do Europy powrócił.

Warto tu słówkiem o tych Sunderbandach wspomnieć. Są to rozległe przestrzenie między Kalkutą a brzegiem morza położone, oblane zewsząd ramionami Gangesu, który wpadając do zatoki Bengalskiej, tworzy szeroką deltę i daleko wokoło wody swe rozlewa. Grunt tu moczarowaty, gęstą trzciną i wijącem się zaroślem pokryty, poprzerzynany we wszystkich kierunkach naturalnemi kanałami Gangesu, okolica prawie nieprzystępna, mało zaludniona, dzika i niezdrowa. Matnia to tygrysów, lecz i siedziba zarazem złośliwych gorączek i zabójczej febry (febris paludosa). Obszary te odstraszają podróżnych i myśliwych i mimo swego położenia obok ogromnego miasta w pobliżu europejskiej cywilizacyi, dotąd jeszcze nie są należycie zbadane. Polowanie na tygrysy w Sunderbandach nader niebezpieczne, gdyż tylko piechotą w gęstych zaroślach i głębokim mule śledzić za nimi można. Kronika myśliwska najwięcej fatalnych wypadków w Sunderbandach notuje, mało też jest myśliwych, mających ochotę w dżunglach Sunderbandów oko w oko z tygrysem się spotkać. Polują nań tam zwykle na zasadzkę z drzewa przy świetle księżyca, gdy tygrys do podłożonego padła lub przywiązanej na przynętę krowy przychodzi; strzał jednak w nocy niepewny, często niemożliwy, a tygrys chybiony lub postrzelony zazwyczaj uchodzi i przepada w niedostępnych gąszczach i uroczyskach. Wogóle polowanie w Sunderbandach ryzykowne i nikomu go doradzać ani zalecać nie można, chociaż jedyna to może miejscowość, w której dla bliskości Kalkuty wyprawę na własną rękę urządzić jest względnie łatwiej, rezultat jednak zwykle słaby lub żaden. Książę Henryk Orleański w 1887 r. odważnie się w te dzikie i niezdrowe miejsca zapuściwszy, kilka tygodni tam przesiedział, lecz mimo całej forsy swej wyprawy, po wielu trudach tylko jednego tygrysa na współkę z dwoma towarzyszami rozciągnąć potrafił.

Starałem się skreślić powyżej w ogólnych zarysach trudności czekające cudzoziemca, wybierającego się w myśliwskich celach do Indyj. Powtarzam, że jako jedyny skuteczny środek do uzyskania jakiegokolwiek pod tym względem pożądanego rezultatu, uważam listy polecające do kompetentnych osób, mieszkających w Indyach, względnie stosunki w tym świecie; tyle bowiem w Europie mówią o polowaniach w Indyach, tyle fałszywych o tem wieści krąży, a tak mało osób z wyjątkiem tych, które same doświadczyły, o rzeczywistym stanie rzeczy poinformowanych, że nieraz wręcz przeciwnych prawdzie pojęć nabrać można, co w przyszłości może się stać powodem przykrych zawodów i gorzkich rozczarowań.

O innych koniecznych wymogach wycieczki do Indyj obszerniej nie mówię, gdyż te się same przez się rozumieją, jak naprzykład: znajomość języka angielskiego, odporna wytrzymałość na palące promienie słońca, na którego piekielny skwar nieraz dzień cały wystawiać się potrzeba, wreszcie środki materyalne. Koszta jednak nie są tak wielkie, jak nieraz o tem w Europie słyszałem i sam sobie wyobrażałem, zwyczajnie bowiem albo się jest gościem i wtedy prócz datków dla służby nic nie kosztuje, albo gdy się jest uczestnikiem większej wyprawy, koszta jej niezbyt zresztą wielkie, na kilka osób się rozdzielając, nieznaczną kwotę na głowę wynoszą. Rzecz prosta, mówię tu o ścisłych kosztach samego polowania w odróżnieniu od ogólnych kosztów podróży, te ostatnie bowiem tak są względne i od danej osobistości zależne, że trudno co do nich pewną regułę postawić, wogóle zaś warunki życia znacznie tańsze, niż w Europie.

W Kalkucie tydzień szybko minął. Zawarte znajomości dały mi sposobność poznania nieco towarzyskiego świata w tem mieście. Pierwsze w niem miejsce zajmuje naturalnie wicekról. Najwyższy urzędnik rozległego imperyum, przedstawiciel majestatu cesarzowej Indyj, na którego skinienie pochylają się kornie głowy 260 milionów krajowych poddanych, żyje margrabia Landsdowne w królewskiej iście rezydencyi, jak monarcha, otoczony azyatycką pompą i przepychem, jakiegoby się niejeden panujący w Europie nie powstydził. Na ulicy otacza go liczna eskorta wspaniałej gwardyi przybocznej, w pałacu roi się od złotem szamerowanych sług i adyutantów, przestrzegających reguł dworskiej etykiety—jednem słowem dwór królewski.

(C. d. n.)

PUMA, CZYLI KUGUAR.

(Felis concolor).

(Ciąg dalszy).

Nie naprzykład nie wiemy o życiu pumy w gęstych lasach nad Amazonką, u której musiały rozwinąć się specyalne instynkty, przystosowane do leśnego życia. Ale za to każdy z nas zna doskonale strasznego kuguara, gdyż w literaturze północno-amerykańskiej pełno jest opisów napaści tych potworów—ludojadów, włóczących się po dziewiczych lasach; na ten temat napisano wiele romansów, nawet przez pisarzy, uważanych za znawców przyrody. Może to i prawda, że północny kuguar napadał przy sposobności na człowieka, albo też śledził go w lesie z zamiarem niespodzianego ataku; ale stanowczo tego twierdzić nie można, gdyż pionierzy i myśliwcy dawnych czasów więcej myśleli o ubiciu kuguara, aniżeli o badaniu jego instynktów i obyczajów. Wiele już lat upłynęło od czasu, kiedy napisane były następujące słowa: „Kuguar, przejmujący takim strachem ludzi łatwowiernych i bojaźliwych, został wytępiony we wszystkich stanach atlantyckich, a jednak nie znamy ani jednego stwierdzonego wypadku, żeby jaki myśliwy stał się ofiarą tego zwierzęcia". Podług mnie możnaby jeszcze dodać: „i nie było wypadku, żeby kuguar napadł na człowieka, nie będąc przez niego zaczepiony". Za podróżnymi w południowej Ameryce także często skrada się puma, lecz nikt tego nie objaśnia sobie zamiarem niespodzianej napaści.

Wspominałem poprzednio o tem, że puma ze względną łatwością zwycięża nawet wielkie zwierzęta, i porównałem ją z sokołem wędrownym; ponieważ jednak niema ani jednego drapieżnika, któryby nie podlegał różnym niebezpieczeństwom, często zupełnie wypadkowym, więc i zwinna puma nie stanowi pod tym względem wyjątku. Jej napady spotykają skuteczny odpór ze strony osłów, które w podobnym wypadku nie glupieją, jak konie, ale jak tylko puma wskoczy im na grzbiet, opuszczają głowę między przednie nogi i wierzgają z taką siłą, że zrzucają wroga na ziemię. Świnie, jeżeli są w większej liczbie, także pomyślnie walczą z pumą; zbierają się wtedy w ściśniętą gromadę, wystawiając w stronę nieprzyjaciela rząd groźnych kłów. W czasie pobytu mego w Patagonii jedna puma zginęła w tak dziwny sposób, że wypadek ten wywołał sensacyę wpośród mieszkańców Rio-Negro. Niejaki Leiner, naczelnik spokojnych indyan, żyjących w sąsiedztwie miasteczka El-Carmen, przejeżdżając raz około rzeki, zwrócił uwagę na zachowanie się młodej krowy, stojącej samotnie wśród wysokiej trawy; krowa ta, z długiemi i bardzo ostremi rogami, oczekiwała jego przybliżenia z oznakami groźnego pobudzenia. Leiner wiedział, że krowa niedawno ocieliła się, i przyszło mu do głowy, że prawdopodobnie jej cielak stał się ofiarą napadu jakiego drapieżnego zwierzęcia. Żeby przekonać się o tem, zaczął szukać w trawie, a w czasie tych poszukiwań krowa rzucała się na niego kilkakrotnie ze straszną wściekłością. Nakoniec znalazł martwego cielaka, leżącego w trawie, a obok leżała wielka puma, także martwa, z wielką raną za łopatką. Widocznie, że cielę było zabite przez pumę, a ta znów przez krowę. Podług słów Leinera nie mógł on uwierzyć swym oczom, mając przed sobą taki widok, do tego stopnia było rzeczą niesłychaną, żeby pumę mogło pokonać jakie inne zwierzę. Leiner przypuszcza, że walka odbyła się w następujący sposób. Głodna puma, podkradłszy się, wskoczyła na cielaka, a smak i zapach krwi odurzyły ją tak, że na chwilę zapomniała o własnem bezpieczeństwie; wtedy rozwścieczona krowa rzuciła się na nią i jednem uderzeniem swych ostrych rogów, zabiła na miejscu.

Z wyjątkiem jednych małp, puma jest najbardziej figlarną i wesołą ze wszystkich zwierząt. Wprawdzie młodzi przedstawiciele całej rodziny kotów wolny swój czas spędzają na charakterystycznych, wesołych skokach i zabawach; ale dorośli zachowują zawsze powagę i godność. Tylko matki bawią się czasami ze swemi dziećmi, ale czynią to powściągliwie, wykazując jawnie, że igrają nie dla własnej przyjemności, ale tylko dla dzieci, uważając zabawę, jako konieczny warunek ich dobrego wychowania. Podług opisów niektórych autorów, napady wesołości czynią pumę daleko straszniejszą, niż najpoważniejszy nastrój. Puma, co do usposobienia, całe życie zostaje młodym kociakiem, oddając się z widoczną rozkoszą rozmaitym zbytkom; może ona całemi godzinami bawić się sama z sobą, zaczynać walki z nieistniejącym przeciwnikiem, bawić się w chowanego z towarzyszami, widzianemi tylko wyobraźnią, albo wysilać wszelkie możliwe, wojenne podstępy dla pochwycenia latającego motyla. Azara przez cztery miesiące trzymał u siebie młodego samca—pumę, który cały czas spędzał na zabawach z niewolnikami. Opowiada on, że puma nigdy nie odmawiała przyjęcia podawanego jej posiłku; jeżeli nie była głodna, zakopywała mięso w ziemię, a następnie, przed zjedzeniem, obmywała w korycie z wodą.

(*C. d. n.*).

Ze wspomnień starego myśliwego.

Polowanie na kaczki. Zarys ich natury i zwyczajów.

W okresie 60-letnim mojego myślistwa mieszkałem w trzech miejscowościach, a mianowicie: najprzód nad Wieprzem, później na Podlasiu, a wreszcie najdłużej nad Bugiem. Postaram się opowiedzieć, com widział i doświadczył, po kolei w tych okolicach.

Dom moich rodziców stał na wzgórku prawie tuż nad brzegiem wiosennego wylewu rzeki. Z podwórza przedstawiał się wspaniały widok wód, zakończony szarawą wstęgą, jaką tworzyło miasteczko Łysobyki, o dwie mile blisko odległe. Szerokość tych wód dochodziła może sześciu wiorst. Już sam ten widok, z dwóch stron obramowany lasem, był dla mnie niewymownie miły; a cóż dopiero, gdy go urozmaicały roje gęsi i kaczek, jak mi się zdaje, do kilkunastu tysięcy sztuk dochodzące. Takiej ilości ptastwa zgromadzonego, już później nigdy nie widziałem. Widywałem je z podwórza na odległość dwóch wiorst może, w tak zbitej masie, że ktoś nieświadomy, śmiało brać je mógł za wyspę; a gdy się zrywały spłoszone przez jakiego drapieżnego ptaka, huk ich skrzydeł przypominał wystrzał z bateryi armat. Widując je codziennie w jednem i tem samem miejscu, pojechałem czółnem, aby zobaczyć, co je tam tak nęci. Otóż zastałem wodę bardzo wolno płynącą i nie głębszą, jak kilkanaście cali; z łatwością więc ciągnące stada mogły widzieć na jej dnie zieleniejącą się łąkę, która im dawała żer łatwy i obfity. Brzeg tej wody, szeroko zarośnięty kaczeńcem *(Caltha palustris)*, roił się poprostu od jakiegoś czarnego ptastwa; przypatrzyć mu się dobrze, rozejrzeć kolory — było niepodobieństwem, tak było ostrożne. To mnie właśnie bardzo zaciekawiało i zmuszało do codziennej obserwacyi. Dostrzegłem wreszcie, że w początkach kwietnia rankami, odłączają się od masy mniejsze gromadki, po kilkadziesiąt, że ciągną zawsze na wschód i to jednym, jakby wytkniętym gościńcem. Zasadzałem się więc na tej drodze, żeby zabić choć jednego, lecz nigdy takiego zbliżającego się do mnie stadka dostrzedz nie mogłem, raz, że ciągnęły tuż ponad ziemią, a powtóre, że szły prawdziwie jakby z szybkością strzału. Zaledwie mignęły się koło mnie, już trzeba było strzelać na bardzo daleką metę. Zaledwie też jednego ubić udało mi się. Z opisu poznałem, że był to batalion. Dziwny ten ptak, spotykany w lecie pojedynczo, ma lot równy i niezbyt szybki, może dlatego, że zbliżyć się do siebie na strzał nie pozwala.

Gdy wody nieco opadły, a na krzakach zaczęły osiadać spławiska (śmiecie), ciągnęło mię coś, aby wsiąść w czółno, albowiem z żyłką myśliwską łączyła się pasya jeżdżenia czółnem po wód przestrzeniach. Jechałem więc do wsi, jaka była na wyspie, odległej o wiorst parę, do zamożnego gospodarza, który nigdy we dworze na robocie nie bywał, wyręczając się zięciem, i gdy wszedłem do niego i powiedziałem: „pojedziecie ze mną Szymonie, na kaczki"? to tego momentu rzucał wszystko, brał wiosło i jeździliśmy dzień cały. Rezultatem tego polowania było czasem nic, a może najczęściej jedna kaczka. Raz tylko zabiłem dwie szczęśliwym wypadkiem. Opowiem, jak to było. Spłoszyliśmy w łozach sześć cyranek; zapadły niedaleko, ale i tym razem podjechać się nie dały; pociągnęły daleko, ale zapadły znowu. Nie widząc szansy znalezienia innych, pojechaliśmy za niemi i tym razem znaleźliśmy je w dogodniejszem miejscu, bo w rozkwitłym kaczeńcu, wprawdzie tylko bielejące się łebki kaczorków widać było. Miałem wielką satysfakcyę, patrząc na Szymona, z jaką on ostrożnością

podjeżdżał te cyranki; zdjął czapkę, pochylił się, strzegąc się plusnąć wodą, dotknąć czółna wiosłem, prawdziwie, jakby wąż, sunący po trawie. Gdyśmy się zbliżyli może na osmdziesiąt kroków, kaczki zaczęły trajkotać. Gorzej, że za zielem nie wiem dobrze, gdzie mierzyć; jeżeli uda się trafić w łeb, to dobrze; strzeliłem i kaczorek został. Prawda, że się ucieszyłem, ale warto było widzieć radość Szymona, tembardziej, że nie mógł wyjść z podziwienia, gdy zobaczył śrót, jakim strzelałem (odpowiadający Nr. 7 sosnowickiemu), że tak daleko takim drobnym śrótem zabić można. „To proszę pana — mówił — taki śrót to chyba wiatr odniesie?“ Splądrowawszy cały obszar krzaków, trzeba się było przenieść gdzieindziej. Wyjechaliśmy więc na niezmierzoną przestrzeń czystej wody i płynęliśmy z ostrym prądem, nie potrzebując robić wiosłami. Tuż przy naszej drodze był maleńki krzaczek, grubo okryty spławiskiem. Zaledwie go czółno dotknęło, zerwała się para kaczek; strzeliłem i kaczor spadł. Mój Szymon na ten widok formalnie osłupiał; bo chociaż sam strzelał do siedzących i zajęcy na wychodnego, nigdy nie widział strzału w lot. Tak mu nim zaimponowałem, że mnie ogłosił w całej okolicy, jako nadzwyczajnego strzelca. Dałem opis tego marnego polowania z tą myślą, aby go czytelnik mógł porównać z późniejszym na wabia, w tej samej porze w zupełnie takiej samej miejscowowości.

K. Dębicki.

(C. d. n.).

Listy do „Łowca Polskiego“.

Sobolew, *w sierpniu.*

W sprawie pożarów leśnych, jakoby w okolicach Sobolewa, st. kolei Nadwiślańskiej, powstałych z winy myśliwych, muszę i ja głos zabrać, jako stały mieszkaniec Sobolewa.

Najpierw postawię pytanie, czy można Sobolew nazwać okolicą Celestynowa, jeżeli pomiędzy dwiema temi stacyami odległość wynosi wiorst czterdzieści? Nigdzie w okolicach Sobolowa pożaru leśnego nie było w tym roku, nietylko z winy myśliwych, ale i innych przyczyn; naokoło stacyi tejże w promieniu parowiorstowym ja dzierżawię polowanie, gdzie nigdy w niedzielę nie poluję, mając na to czas w dzień powszedni. O panach myśliwych z Warszawy powiedzieć tego nie mogę, gdyż panowie ci, będąc zajęci cały tydzień przeważnie pracą biurową, bardzo zasadnie szukają rozrywki i świeżego powietrza w dzień świąteczny. O ile mi się trafiło w ich gronie polować w święto, na czas nabożeństwa polowanie przerywają. Dalsze tereny około Sobolewa i duże przestrzenie leśne należą do dóbr Maciejowickich hr. Zamoyskiego, tam także żadnego pożaru leśnego nie było.

Co do zdechłych kuropatw, u mnie w zżętem życie znaleziono w dwóch miejscach górzystych, daleko odsuniętych od wody, trzy sztuki, w jednem miejscu dwie starki, a w drugiem jedną młódkę.

Łoski.

Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Posiedzenie Wydziału Ochrony i Polowań, 1 sierpnia. Z uwagi na wczesne tegoroczne lęgi kuropatw, które już dziś wyglądają jak dojrzałe, postanowiono otworzyć polowanie na kuropatwy na dobrach Osieckich w d. 21 sierpnia. Aby jednak odstrzeliwanie odbywało się na wszystkich terenach równomiernie, Prezydujący w Wydziale, stosownie do otrzymanych wiadomości, będzie zamykał polowanie na pojedynczych wsiach i folwarkach, stosownie do okoliczności.

Dla opracowania projektu zmian w terminach polowania na różną zwierzynę łowną postanowiono zaprosić do współudziału ze znanych hodowców: hr. Augusta Zamoyskiego, hr. Ksawerego Branickiego i pana Aleksandra Szwedego.

Posiedzenie Rady, 3 sierpnia. Główne Towarzystwo w Moskwie zapytuje, co zrobić z pieniędzmi, przesłanemi Towarzystwu na medale, które miały być przyznane od naszego Oddziału najlepszym psom na konkursach polowych w roku zeszłym, ponieważ konkursy owe nie przyszły do skutku, lecz odłożone zostały do roku bieżącego. Rada postanowiła, aby medale przyznane zostały na konkursach tegorocznych.

Zarząd kolei Nadwiślańskich zgłosił się z zapytaniem, czy żywe zające, wysłane ze Skierniewic do Włodawy, mogły przez cztery doby żyć niekarmione i niepojone w zamknięciu, i po czemu można liczyć zająca — samicę. Trudno dać odpowiedź na pierwsze pytanie, bowiem ani Towarzystwo, ani nikt inny zapewne nie próbował trzymać przez cztery doby zajęcy bez karmy. Towarzysto niejednokrotnie sprowadzało zające od Gudery z Wiednia, przychodziły one jednak zawsze w 36 godzin najpóźniej na miejsce przeznaczenia i pakowane były w klatkach, w których wysyłający umieszczał marchew, buraki i t. p.; w drodze zające nie były karmione, ani pojone, bo wraz z pożywieniem były wysyłane. W tych warunkach upadek był bardzo nieznaczny; zające przychodziły na miejsce żywe i zdrowe. Były wypadki, że wysyłano zające z Wiednia do Warszawy, a stąd do gub. suwalskiej, ale zawsze zające były pakowane wraz z karmą. Sprowadzano również z Cesarstwa bielaki, ale zawsze jechały one wraz ze swojem pożywieniem. Co do ceny, to w Krośniewicach sprzedają samice zajęcy po 6 rb. sztukę. Oto są dane, na których zapewne oprze Rada swoją odpowiedź Zarządowi kolei nadwiślańskich.

Drobiazgi myśliwskie.

Dubelty. Pan B. Petrow z Wdzięków, w gub. radomskiej, donosi nam, że d. 30 lipca widział dubelty po raz pierwszy w tym roku. Tem bardziej fakt ten zasługuje na wzmiankę, iż w r. 1902 pierwszy dubelt zabity tam był 30 Września, w r. zaś beltów w tym śnia. Okazuje się zatem, iż przelot du1903—27 wrzeroku wcześnie się zapowiada w tamtejszej okolicy. Dubelty widziano też około Otwocka pod Warszawą i w Osieckich dobrach.

Sprawka drapieżnika. P. Błociszewski z Kont, w gub. siedleckiej, donosi nam, że w końcu maja r. b. w porębie, gdzie ścinano dęby, po spuszczeniu jednego z najwyższych, leśnik wraz z robotnikami zauważył na czubku drzewa między rosochami, jakieś zwierzątko, powieszone za łebek. Była to młoda sarna, wielkości kota, cała, nienaruszona, ale zupełnie jak zasuszona. Naturalnie, jest to sprawka jakiegoś większego drapieżnika skrzydlatego.

Wniosek prawodawczy. W Zurichu w radzie kontonalnej toczą się rozprawy co do zmiany rozporządzeń, dotyczących polowania. Dwa stowarzyszenia strzeleckie: „Hubert“ i „Dyana“, z niepokojem oczekują wyroku, który, jeśli wypadnie według życzeń przeciwników, odbierze nemrodom możność kupowania patentów, dozwalających im polowań gdzie, kiedy i ile zechcą.

Obraz myśliwski. Towarzystwo Zachęty sztuk pięknych w Warszawie, zakupiło do zbiorów własnych prześliczny obrazek Maksa Gierymskiego, przedstawiający „Scenę z polowania w XVIII stuleciu".

Jeszcze o pożarach i myśliwych. Wskutek wiadomego wystąpienia „Kuryera Warszawskiego", o którem pisaliśmy obszerniej, „kółko myśliwych", dzierżawiących polowanie w lasach dóbr Radzyń p. Niezabitowskiego, nadesłało list, wyjaśniający, że nie oni stali się powodem wzniecenia pamiętnego pożaru w tych lasach. „W niedzielę—piszą—o g. 8 rano powróciliśmy już na stacyę z ogołoconych błot p. N., na których jeszcze przed terminem pierwszego polowania skoszono lichą trawę, z czego skorzystali „ludzie" i wybrali wszystkie młode kaczki. W lesie nie polowaliśmy, bo nie było na co; z Celestynowa odjechaliśmy około 1-ej po południu, siedząc do tej pory na stacyi z innymi myśliwymi. Pożar nigdy nie mógł wybuchnąć z przyczyny naszej, gdyż wyszliśmy z lasu o godz. 4 po poł., i to w pobliżu szosy, gdzie nie byliśmy wcale. Nikt z nas „pakułami" nie strzela i nigdy podczas upałów od g. 11 do 5 po poł. nie poluje, zwłaszcza w święta". Nasze uwagi „Kuryer" pominął milczeniem...

Pomor kuropatw. Niektóre pisma codzienne, podając zaznaczoną już przez nas wiadomość, że podczas sprzętu zboża kosiarze i żeńcy znajdują wiele padłych kuropatw, przeważnie starek, — robią uwagę, iż „jak się zdaje, przyczyną pomorku jest jakiś pasorzyt, którym całe opierzenie jest obsypane". Otóż zwrócimy uwagę, że prawdopodobnie nie są to pasorzyty, lecz larwy much ścierwnych, wylęgnięte z jaj, które muchy te znoszą na każdą padlinę.

Zjazd zoologów. Międzynarodowy zjazd zoologów naznaczono na czas od d. 14 do 19 b. m. w Bernie szwajcarskiem. Zgłosiło się przeszło 250 uczestników różnych narodowości. Liczba zapisanych konferencyj wynosi 11 dla posiedzeń ogólnych i 70 dla oddzielnych sekcyj. Rząd szwajcarski udzielił dla dwóch posiedzeń ogólnych wielkiej sali rady narodowej. W liczbie prelegentów na posiedzeniach ogólnych znajdują się profesorzy: Blanchard z Paryża, A. Lang z Zurychu, Chun z Lipska, baron Berlepsch z Kassel, Sarasin z Bazylei, Joubin i Girard z Francyi. Posiedzenie końcowe odbędzie się w Interlaken.

Wyścig gołębi. Pod Patronatem ministeryum wojny urządziło Towarzystwo chowu gołębi wyścig tych ptaków między Krakowem a Wiedniem. W Krakowie major Traeger wypuścił około 170 gołębi. Pierwszy przybył do Wiednia (413 kilometrów) w ciągu pięciu godzin i kilku sekund. Ma to być rekord dotychczas nieosiągnięty. Hodowcom gołębi przyznało ministeryum wojny i rolnictwa znaczne premia.

Odlot bocianów. Z różnych stron kraju donoszą, że bociany, które zwykle dopiero w drugiej połowie sierpnia przygotowują się do odlotu, w tym roku już w pierwszych dniach b. m. zaczęły się gromadzić. Przypuszczać należy, że susza niebywała wpłynęła na ten niezwykły objaw, a i wypalone od słońca łąki nie dostarczają ptakom dostatecznego pokarmu. Przygotowujący się odlot bocianów zauważono także w W. Ks. Poznańskiem.

Wystawa psów. W Kassel otwarto międzynarodową wystawę psów wszelkich ras. Wystawiono blizko 600 okazów. Najwięcej dostarczyły Niemcy, Anglia, Austrya, Belgia i Szwajcarya.

Zjazd strzelecki w Szwajcaryi. Uzupełniając podane już przez nas wiadomości o tym zjeździe, zaznaczamy, że zjazdy te datują od r. 1824, odbywają się co trzy lata i coraz to w innej miejscowości. Ostatni był w Lucernie, tym razem kolej wypadła na St. Gallen, miasto, liczące zaledwie 35,000 mieszkańców. Szwajcarzy, to naród, w którego obywateli sercach tak głęboko tkwi tradycya Wilhelma Tella, strzelca—bohatera. To też niema w całej Szwajcaryi miasteczka, ba, nawet małej wioski górskiej, gdzie nie byłoby towarzystwa lub kółka strzeleckiego. Broń palna znajduje tu się pod każdym dachem; mały chłopiec dostaje ją do ręki jeszcze w szkole, a przeciętny szwajcar włada bronią zupełnie poprawnie. Na wszystkich prawie międzynarodowych konkursach strzeleckich pierwsze nagrody dostają się, jakby z reguły, Szwajcarom. Na uroczystość w St. Gallen przygotowano za miastem wielką strzelnicę, zaopatrzoną w 185 tarcz do strzałów z fuzyi i 28 do rewolweru i pistoletu. Liczne orkiestry daremnie usiłowały zagłuszyć nieustanne salwy. Kulminacyjnym punktem był t. zw. „dzień urzędowy", gdy zjechali z wielką pompą członkowie Rady związkowej z prezydentem na czele. Na nagrody dla strzelców przeznaczono 300 medali złotych, 2,500 srebrnych, obok wielkiej ilości pucharów, złotych i srebrnych zegarków, rozmaitych odznak i darów w naturze, między któremi nie brak i Singerowskich maszyn do szycia, obok pudełek cygar i wina Chianti.

Norweskie Towarzystwo wielorybników jest w posiadaniu dwóch wielkich statków wielorybniczych *Nicolas* i *Georges*, zbudowanych w Christianii w 1894 r. Na czele Towarzystwa stoi p. Kaiserling, oficer marynarki rosyjskiej. Statki operują głównie na Wschodnich brzegach Syberyi i Korei. Stacya centralna statków znajduje się w Nagasaki, gdyż Japonia jest doskonałym rynkiem do zbytu wielorybów. Japończycy konsumują wiele mięsa wielorybiego, a wskutek tego cena jenego wieloryba dochodzi tam przed Nowym rokiem do 12,000 koron. Średnia cena wynosi 5,000 koron. W jednej z ostatnich wypraw statek *Nicolas* zdobył 21 wielorybów w ciągu jednego miesiąca. Kampania zaś przedostatniej zimy dała Towarzystwu 114 wielorybów.

Ucieczka lwa. Wędrowna menażerya w Devonshir była niedawno podczas jarmarku widownią dzikiego popłochu. Pogromca lwów wszedł do klatki, w której znajdowały się dwa wspaniałe okazy lwów afrykańskich, gdy nagle jeden ze lwów pchnął drzwi, któremi wszedł pogromca, otworzył je i skoczył między publiczność. Popłoch powstał nie do opisania. Ale lew o mordowaniu ludzi nie myślał, przestraszony bowiem najwidoczniej krzykiem, uciekł, przewracając wszystko po drodze, w pole, gdzie położył się najspokojniej na murawie. Tam ujął go bez trudu pogromca i zaprowadził z powrotem do menażeryi. Ten sam lew już przed rokiem wyskoczył z klatki podczas jarmarku w Plymouth. I wówczas go ujęto.

Słynny przewodnik. Pisma zagraniczne zaznaczają, że najlepszym przewodnikiem dla chcących polować w Ceylonie na słonie, bawoły, dziki, jelenie, krokodyle, niedźwiedzie i lamparty,—jest Coney Appu, zamieszkały w Colombo, Hyde Park 8.

Ofiary dzikich zwierząt. W prowincyach środkowych Indyj, w ciągu roku zeszłego padło ofiarą tygrysów 190 ludzi; z drugiej strony zaś zabito 199 tygrysów. Cyfry te podaje raport roczny rządu indyjskiego. Tygrysy, które rzucają się tam na ludzi, są odrębnego nieco gatunku i nazywają się „ludożercemi". Są one bardzo przebiegłe i ukrywają się starannie, aby nie płoszyć ludzi. Tygrysa, mimo jego wielkości, trudno jest bardzo wykryć śród trawy i zarośli. Są myśliwi, którzy lata całe przebywają w dżungli i tygrysa takiego nie spotkają. W tychże środkowych prowincyach Indyjskich w r. z. pantery przyprawiły o śmierć 180 ludzi, a wilki—50.

Niepewny. — Tam do licha! Zdaje się, że zabiłem zająca, ale zdaje się, że nie wiem, gdzie mi się podział!

* *

Pies i telegraf. — Mój kumotrze, a jak to jest z tym „tyligrofem", że jak na jednym końcu *stuka*, to na drugim *godo*?

— Ano, widzita kumie, to je tak samo, jak gdy nieprzymierzając, psu z tyłu na ogon nadepniecie, to z przodu gęba *szczeka*...

PRZYSŁOWIA MYŚLIWSKIE.

Zebrał z „Księgi Przysłów“ J. O (*C. d.*).

Bestya.

1. Każda bestya zna swój czas.
2. Żadna bestya tak nie łże, jak człowiek.

Bobak.

1. Śpi, jak bobak.

Bocian.

1. Albom ja bocian, żebym świat z żab czyścił.
2. Bocianie z nosa, znać żórawię z szyi.
3. Bociek jest, wiosny wiest.
4. Chociaż boćki już przylecą, czasem śnieżne wiatry miecą.
5. Gdzie bocian, tam pokój.
6. Jak bocian przyleci, możecie wyjść na dwór, dzieci.
7. Kiedy bociek w gnieździe siedzi, to pociecha wam sąsiedzi, a nad czyją chałupą, z tym nie będzie latoś krucho.
8. Boćki przyleciały, podwieczorki przywróciły; boćki odleciały, podwieczorki zabrały.
9. Nie mnie brać na bociany.
10. Góral ma nogi bocianie, kogo zechce, to dostanie.
11. Klekce, jako bocian.
12. Kontent (rad), jakby go bocian nosem iskał.
13. Koza wrzosu, bocian żaby, a żaba błota szuka.
14. Na jednej łące wół trawy patrzy, a bocian żaby.
15. Smaczny, jak bociani dziób z jeżową nóżką.
16. Jaki baran, taka skórka; jaka matka, taka córka.
17. Na święty Wojciech zniesie jajko bociek.
18. Na Zwiastowanie przybywaj, bocianie.
19. Chciały żaby króla, dostały bociana.
20. I bocian wszystkich żab nie wyłowi.
21. Łyka bocian żaby, a „dlatego“ są.
22. Żaba wtenczas w kłopocie, gdy widzi bociana w błocie.
23. Jak przylecą bociany, pierwszy zagon zasiany.
24. Żóraw grykę zjadł, bocian w sidło wpadł. (*C. d. n.*)

Treść Nr. 16 „Łowca Polskiego“.

Prenumerata „Łowca Polskiego“ wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie rub. 1 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop., kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO“ 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO“ prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO“ Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego“ adresować należy: Smolna 34, w Warszawie.

OGŁOSZENIA.

WARSZAWSCY CUKIERNICY (40)

Blikle, Zawistowski, Górscy i S-ka

Nowo-otworzona filia
Marszałkowska 123 (róg Siennej)
Wielki wybór **Cukrów Deserowych, Kakao, Czekolady, Pralin** i t. p.

Dom Handlowo-Leśny

M. GODLEWSKI i F. DĘBSKI

Warszawa, Chmielna Nr. 25. — Telefonu Nr. 2762.

(37)

WAŻNE DLA KAŻDEGO!
SPECYALNA PRACOWNIA PORTRETÓW FOTOGRAFICZNYCH

Jana Machowskiego

WARSZAWA, Złota № 5.

Wykonywa portrety od rb. **1.75** naturalnej wielkości, biust rb. **5.** Zamówienia na prowincyę według nadesłanych fotografij, wysyła za zaliczeniem. Wykończenie artystyczne. 98

CENY PRZYSTĘPNE!



CENNIKI NA ŻĄDANIE!

SKŁAD BRONI,
prochu i przyborów myśliwskich

L. Niżałowskiego

w WARSZAWIE, Królewska № 29a

Poleca bronie wypróbowane pierwszorzędnych fabryk zagranicznych.

Przy sklepie warsztat pod osobistym zarządem.

Do nabycia we wszystkich księgarniach i w Redakcyi „Łowca Polskiego" (Warecka 15).

Nad Nilem Niebieskim

przez
Jana Sztolcmana
z ilustracyami
Józefa Rapackiego.

Jest to niezmiernie interesujące sprawozdanie z łowieckiej wyprawy do Sudanu hr. Józefa Potockiego, któremu towarzyszył autor niniejszego dzieła. Żywo kreślone notatki myśliwskie opisy przygód łowieckich, zdobią liczne fotografie, zdejmowane przez uczestników wyprawy, która była pierwszą myśliwską wyprawą w tej, mało jeszcze znanej sportsmenom krainie.

Wydanie ozdobne z kolorowaną okładką.

Cena rb. 5.

Prenumeratorowie „ŁOWCA POLSKIEGO"
mogą otrzymać to dzieło w Redakcyi (Warecka 15) po 4 ruble.

NOWOŚĆ
dla Warszawy
49 Krucza 49
przy rogu Alej Jerozolimskich.

Włoska Specjalna Ciastkarnia

44

Poleca swoje wyroby:
Panettone di Milano;
Sucharki; Petifury.
Brioches fines.
G. G. LARDELLI.

ZAKŁAD MEBLOWY

LUDWIKA ORTHWEINA

Egzystujący od 1870 roku

przeniesiony został z Senatorskiej 12 **na MAZOWIECKĄ 2.** (33)

Poleca całkowite urządzenia apartamentów od skromnych do najwykwintniejszych.

MEBLE we wszystkich stylach

poleca

ADOLF OKOŃ i S-ka

Mazowiecka 5, I piętro.

Kupujący w moim magazynie, zechcą się powołać na niniejsze ogłoszenie.

---

99 **ZOSTAŁ OTWORZONY 1-go CZERWCA ZAKŁAD ARTYSTYCZNO-FOTOGRAFICZNY**

„Specyalność portretów" **IGNACEGO KECHEL** „Specyalność portretów"

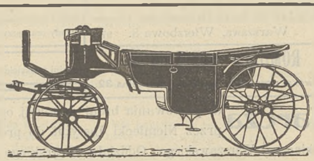
ulica **CHMIELNA Nr. 33,** trzeci dom od rogu Marszałkowskiej. Wykonywa wszelkie roboty w zakres fotografii wchodzące.

Wielki wybór powozów gotowych (63)

Filipa LORETZ

WARSZAWA, Leszno 23 (Dom własny). Telefon Nr. 4037.

Egzystuje od roku 1866.



Дозволено Цензурою. Варшава, 29 Іюля 1904 г.

Redaktor i wydawca Jan Sztolcman.

Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa, Nowy-Świat 41.